NUMER SETNY

TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 2. Nr. 48 (100) Nowy Jork, 3 grudnia — New York, 21, N. Y., December 3rd, 1944 Cena 15 ct.



TU BYŁA WARSZAWA

Plac Teatralny w Warszawie w czasie walk wrześniowych

PRAWDZIWA WŁADZA

Wiadomości z Londynu wyjaśniające i komentujące dymisję pana Mikołajczyka oraz warunki w w jakich pan Kwapiński usiłuje stworzyć swój gabinet są tak skąpe, niepewne, poddane tylu cenzurom — że w ocenie sytuacji naprawdę przełomowej dla sprawy Polski, jaką przeżywamy, zdani jesteśmy na domysły, plotki i skazani na cierpliwe oczekiwanie aż nam urzędowe agencje podadzą listę nowych ministrów, z której będziemy mogli odcyfrować, co się naprawdę stało oraz czy i w jakim kierunku zmieniła się polityka i taktyka naszego rządu.

Jedno jest oczywiste i pewne — to fakt, że rosnące w całem społeczeństwie emigracyjnem, nie mówiąc już o wojsku, przekonanie o bezskuteczności jakichkolwiek względem Rosji ustępstw — znalazło wyraz w zdecydowanej tym razem postawie paru przynajmniej członków rządu; podawać się do dymisji z własnej woli nie był to dotychczas obyczaj polskich ministrów — jeśli pan Mikołajczyk poszedł tu za zachodniemi obyczajami — musi być już w Londynie bardzo "gorąco".

To co nas doszło dotychczas o przebiegu starań pana Kwapińskiego, aby utworzyć rząd nowy — nie jest, niestety, zbyt pocieszające i nie świadczy, aby nasza góra polityczna weszła na drogę owych naprawdę demokratycznych i parlamentarnych obyczajów, których powinna najsumienniej przestrzegać, stale reklamując swój demokratyzm i parlamentaryzm. Panu Mikołajczykowi nie udało się porozumieć z Rosją i czy odszedł pod naciskiem kolegów, opinji czy przy innych jeszcze sugestjach, faktem jest, że jego polityka w obecnych warunkach doznała porażki. Rzeczą demokratyczną i jedynie logiczną ze strony zwoleników polityki pana Mikołajczyka byłoby teraz dać szanse panu Kwapińskiemu poprowadzić sprawy polsko-rosyjskie inaczej, samym zaś przejść do lojalnej opozycji, której wzory w Londynie są tak bliskie i świetne. Jeżeli pan Kwapiński musi się już któryś tam dzień naradzać z kilku osobami, stanowiącemi o decyzjach politycznych naszych stronnictw, jeżeli gabinet "nowego kursu", bo taki jedynie powinien być konsekwencją dymisji pana Mikołajczyka nie jest jeszcze gotów — nie jest to ani demokratyczne ani nie świadczy to o zrozumieniu przez polityków polskich w Londynie powagi chwili i konieczności dania dziś właśnie przykładu poczucia rzeczywistości i zdolności do działania. Sprawa prestiżu naszego rządu u swoich i obcych dziś właśnie jest rzeczą najpierwszej wagi. Rząd polski w Londynie wbrew temu co mówią jego przeciwnicy, wbrew temu co, niestety, jego niektórzy członkowie zdają się myśleć sami o sobie — nie jest bynajmniej tylko reprezentacją niezdolną zaważyć na biegu historycznych wydarzeń, decydujących o losie Polski, zdarzeń zależnych jakoby tylko od wielkich potęg; nie jest on tylko klijentem wielkich mocarstw, mającym prawo dyskutować z niemi o losach Polski, ale obowiązanym wkońcu, choćby ze ściśniętym sercem poddać się ich decyzjom.

Rola tego rządu jest znacznie mniejsza niż wyobrażają sobie jego członkowie jeśli chodzi o różne sprawy "resortowe", w których niektórzy z tych panów lubują się, przemieniając się nieraz w istnych Jenialkiewiczów, najpoważniej w świecie decydujących o nieistniejącej administracji, albo najniepewniejszych reformach przyszłości; przesunięcia dyplomatyczne, różne ceremonje i biura planujące naszego rządu są niejednokrotnie czystą fikcją i zabawą może nieszkodliwą ale w dzisiejszych ciężkich chwilach nieodpowiednią. Natomiast wbrew wszelkim przeciwnym pozorom jedno o czem rząd polski naprawdę ostatecznie decyduje, w czem jego głos jest historycznego znaczenia, jedno do czego jest on powołany, w czem odpowiedzialność jego na nikogo nie da się przerzucić, jest to właśnie los Polski, przyszłość państwa polskiego, granice i niepodległość naszego kraju — to wszystko co rzekomo zależy tylko od "wielkiej trójki" na co rzekomo rząd polski coraz mniej może wpływać.

Nie znaczy to oczywiście — aby od rządu naszego zależały ruchy armji rosyjskiej, aby jego dekrety mogły zmienić dokonane przez rząd sowiecki fakty — nie będziemy też naturalnie żądać od pana Kwapińskiego jak nie żądaliśmy od pana Mikołajczyka aby ich tezy i sugestje w sprawie polskiej były zawsze akceptowane w Waszyngtonie czy Londynie. Jest natomiast rząd polski reprezentacją legalną i wolnym głosem zmuszonego do milczenia i pogrążonego w straszliwej niewoli trzydziestomiljonowego wielkiego narodu, o znaczeniu politycznem nietylko w przeszłości ale i dziś olbrzymiem, o zasługach i znaczeniu kulturalnem wielkiej wagi dla Europy i dla świata, jest on depozytarjuszem ideałów historycznych, które były oparciem i obroną demokracji i chrześcijaństwa i których zapoznanie lub zdeptanie będzie zmarnowaniem zwycięstwa, oddając Europę we władzę najcyniczniej imperjalistycznego totalizmu.

Dlatego pierwszym obowiązkiem naszego rządu jest wyrażać głośno wolę Polski, która jest znana, niewątpliwa a której kraj nasz wyrażać nie może. Czy głośne wypowiedzenie tej woli będzie się komuś podobać czy nie — to nie umniejsza bynajmniej obowiązku, że wolę tę wyrażać rząd nasz musi; wiemy zresztą z przykładu generała de Gaulle'a, że nie wszystko co się dziś nie podoba — tem samem zawsze widziane jest niechętnie.

Legalność naszego rządu, jego mandat do reprezentowania Polski, decydowania w jej imieniu o jej przyszłości—opiera się na podstawach praw-

nych, niewzruszonych i o międzynarodowej wartości niewątpliwej, jasne jest, że gdyby tak nie było— nie byłoby oczywiście owego nacisku angielskiego, aby rząd nasz przystał na żądania Rosji; to że Wielka Brytanja czy Stany Zjednoczone na nie przystaną nie decyduje bowiem jeszcze bynajmniej o powadze prawnej tych żądań czy stworzonych przez Rosję faktów dokonanych.

Że rząd londyński jest legalną reprezentacją i mimo niemożliwości działania w całym szeregu dziedzin — prawdziwym rządem Polski — to opiera się nietylko na poparciu czterech stronnictw polskich, ale również, i to jest bodaj jeszcze wymowniejsze, na fakcie, że opozycja polska zwalczająca nieraz bezwzględnie politykę tego rządu nigdy mu tej legalności nie odmawiała.

Ale najsilniejszy tytuł rządu londyńskiego do mówienia i decydowania imieniem naszego narodu wynika z jego praw, ważniejszych i głębszych niż prawa pisane, które choć tak niewątpliwe mogłyby być poderwane przez jakąś rewolucję.

Rząd polski — jest dlatego prawdziwym rządem polskim, że wyraża on w tej przełomowej chwili ideały i interes państwa polskiego jest on dlatego rządem prawdziwym, że broni on całości i niepodległości Polski, że broni on ideałów i zasad moralnych, które stworzyły to państwo i stanowią o jego odrębności i roli w życiu świata; żadna władza zagospodarowawszy się na ziemi polskiej nie będzie też naprawdę polskim rządem jeśli tej powagi, tej siły moralnej mieć nie będzie, jak nie był prawdziwym rządem francuskim, pomimo, że uznany przez Stany Zjednoczone, rząd Petaina, który zdradził interesy i ideały narodu francuskiego.

Nowy rząd polski, czy bedze to rząd pana Kwapińskiego, czy inny, ostoi się wtedy, jeżeli będzie czerpał swe siły — i opierać będzie swoje istnienie na tem, że od obrony niepodległości i całości Polski, od obrony honoru Polski (będącego bynajmniej nie jakimś zwrotem literackim ale istotną polityczną wartością) od obrony ideałów narodu polskiego nie odstąpi, jeżeli tak nasz nowy premjer i nowi ministrowie zrozumieją swoją rolę — zachowają całą istotną moralną władzę, której najbardziej drastyczne zarządzenia pana Churchilla nigdy mu nie będą mogły odebrać.

Może to urazi "rzeczowe" ucho pana Kwapińskiego, jak napewno uraziłoby ucho pana Mikołajczyka, ale rząd polski wtedy się naprawdę ostoi, wtedy będzie mógł coś dla Polski uczynić — jeśli będzie tem, co wielki poeta nazywał patetycznie "rządem dusz" — siła naszego rządu to są dusze naszych żołnierzy, dusze Polaków cierpiących w kraju, całe oddane wolności i niepodległości, kto te dusze zdradzi, kto wyzbędzie się władzy nad niemi — straci swą prawdziwą władzę i wkońcu nawet legalność mu nie pomoże.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że wojna ta jak wszędzie prawie tak i u nas nie wydała ludzi politycznych miary większej, zdolnych przeciwstawić własna twórcza myśl chaosowi zdarzeń; wiemy też jednak że jeśli nie mamy tych ludzi na miare wypadków, genjusz narodu polskiego, jego siła duchowa wyrażona w bohaterstwie naszego kraju i naszego wojska — zabłysły jak naprawdę nigdy w naszej historji, potwierdzajac wszystkie nasze historyczne prawa.

Ludzie zwykłej miary ale charakteru niezłomnego, którzy w pracy swej ożywieni beda owym geniuszem naszego narodu, którzy zrozumieją, że władza naszego rzadu opiera sie na wyczuciu tego geniuszu, moga dotrwać do nieuchronnej chwili gdy warunki polityczne zaczna grać na nasza korzyść i moga doczekać tego, co dzisiaj nawet optymistom — wydaje się bardzo dalekie.

Ś. P.

HIERONIM WIERZYŃSKI

DZIENNIKARZ

ZMARŁ W WARSZAWIE W ROKU 1944

PRZEŻYWSZY LAT 60

O CZEM ZAWIADAMIAJĄ

brat i bratowa

MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI

NA 150-LECIE RZEZI PRAGI

(4-go LISTOPADA 1794)

(o próbie rehabilitacji Suworowa)

Dokończenie

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

W tm okresie imię Kościuszki jest wymawiane ze czcią przez czołowych poetów angielskich. Byron, który pisał, że "Suworow lubi krew jak angielski radca miejski lubi szpik", — przypominał w "Don Juanie", że w Polsce "imię Kościuszki dziś tryska płomieniem przez śnieg jak Hekli ognisko'". Campbell w "The Pleasures of Hope" mówi, że "Wolność krzyknęła gdy padł Kościuszko". Kościuszce poświęca sonety Coleridge (w cyklu "Sonnets of Eminent Characters") i Keats. Kościuszkę sławi słynna swego czasu powieść Jane Porter "Thaddeus of Warsaw" (dziesiąte wydanie z r. 1819 autorka dedykowała jego pamięci). W "Imaginary Conversations of Literary Men and Statesmen" Landora oczesne miejsce zajmuje dialog Kościuszki z Poniatowskim.

Rzeź Pragi odzywa się echem, znajduje oddźwięk w karykaturze słynnego Rowlandsona. Ukazuje ona Suworowa gdy składa u stóp Katarzyny całe kosze z głowami pomordowanych ofiar, przyczem Katarzyna z sadystyczną przyjemnością gładzi głowę jednej z kobiet, chwaląc Suworowa za dokładne wypełnienie rozkazów i dopytując się, czy nie mógł skłonić żadnej z Polek do otrucia męża (aluzja do zamordowania Piotra III na rozkaz czy za przyzwoleniem Katarzyny). Suworow, któremu z kieszeni wystaje rulon z warunkami kapitulacji Warszawy, odpowiada, że ściśle wykonał polecenia imperatorowej, dotyczące "obałamuconego narodu polskiego", i że może zaprezentować resztki "dziesięciu tysięcy głów czule odłączonych od ich obałamuconych ciał w dziesięć dni po kapitulacji". Djabełek, nazwany przez Katarzynę Arielkiem, otrzymuje rozkaz przygotowania uroczystego "Te Deum" z racji tych "ślicznych ofiar". "Brawo! — wykrzykuje. — To przechodzi scenę otrucia". Inny znakomity karykaturzysta angielski Gillray ukazywał Suworowa o zwierzęcym wyrazie twarzy, opartego na okrwawionej szabli; w dali widać płonący Izmaił.

Zareagowali także pisarze. Autor obszernej "The History of Poland" (1795) powołuje się na wspomniane "Te Deum", odśpiewane po "bezlitośnej rzezi" Pragi, i zaznacza, że bezbożnictwo rewolucyjnej Fancji jest niczem wobec tego "uroczystego bluźnierstwa (solemn blasphemy)". Straszne jest, że bieg rzeczy na świecie stanowi dzieło ślepego przypadku, ale straszniej byłoby przypuszczać, że rządzi nami bóstwo czczone w Petersburgu, któremu sprawiałoby "przyjemność oglądanie ołtarzy, zalanych krwią kobiet i dzieci, i słuchanie głosów morderców, oddających cześć niebu pośród krzyków i jęków ofiar".

Wydany w tymże roku życiorys Suworowa p. t. "The Life of Russian General Suworow" już w samym ty-



Miniatura Suworowa, wykonana w r. 1795 przez Beckona w Warszawie

tule podkreśla jego "okrucieństwo wobec Turków w Izmaile i Polaków w Warszawie". Broszurę zaopatrzono w motto z biskupa angielskiego Porteusa: "Kto popełnił jedno morderstwo, jest łotrem, kto popełnił miljon morderstw — bohaterem". — Stwierdziwszy, że istnieje szczególny rodzaj "bohaterów", którzy rozkoszują się "brodzeniem we krwi (to wade through slaughter)" i "zatrzaskiwaniem drzwi współczucia dla ludzkości (to shut the gates of mercy on mankind)". i opisawszy rzeź Pragi, autor, podobnie jak Masson, ukazuje obłudę Suworowa po kapitulacji Warszawy, Serdeczne powitanie, jakie zgotował Suworow delegacji, czułość człowieka, który "na kilka dni przedtem wydał rozkaz rzezi swych bliźnich", przypomina smutek Szatana w "Raju utraconym" Miltona. Na usta cisną się słowa: "Wytrysną łzy jakimi płaczą djabły" (u Miltona mamy zamiast "djabły" — "anioły") "I takiego bohatera wynoszą pod niebiosa nasi sprzedajni dziennikarze" — kończy autor.

Inny zarys bjograficzny Suworowa, pióra "Oficera", podnosi, że "przygnębiające tragedje Izmaiła i Pragi na zawsze przćmiły blask jego karjery wojskowej i stały się bronią w ręku jego wrogów aby napiętnować pamięć o Suworowie wieczną hańbą i sromotą". Nawet barbarzyństwo naszych czasów nie może rozgrzeszyć podobnie bezprzykładnego okrucieństwa, a czytelnik, "oddawszy sprawiedliwość talentom i odwadze generała, z odrazą i ze zgrozą potępi chrześcijanina, ojca i człowieka".

Nie brakło, rzecz prosta, także głosów wybielających. Stosunkowo najpoważniej wyglądała obszerna bjografja Suworowa pióra jego adjutanta, sekretarza i szefa propagandy, Niemca Friedricha Anthinga, pisana w Warszawie podczas okupacji rosyjskiej, przełożona potem na francuski i angielski. Ale nawet historyk rosyjski, Pietruszewskij, w swoim przeglądzie literatury suworowskiej każe odnosić się do Anthinga ostrożnie, zarzucając mu panegiryzm, przesadę w cyfrach i naciąganie faktów. Anthing przyznaje że zwycięzcy dokonali okropnej rzezi na ulicach i placach miasta, że krew lała się strumieniami, ale odpierając zarzuty pisarzy, którzy pragną oczernić Suworowa, twierdzi, że podane przez nich cyfry ofiar są wyolbrzymione. Wielka ilość jeńców najlepiej świadczy o umiarkowaniu Rosjan. Pozatem rzadko się zdarza by w gorączce walki dowódcy potrafili powstrzymać żołnierzy, zwłaszcza kiedy żywa była w pamięci masakra Rosjan, dokonana pzez Polaków w dniu wybuchu powstania.



Karykatura angielska po zwycięstwie Masseny pod Zurichem p. t. "General Swallow" (nieprzetłumaczalna gra słów): Suworow zmuszony do wyrzygania swoich zdobyczy łącznie z Warszawą i z Pragą.

Rzecz Anthinga spotkała się z natychmiastową odpowiedzią ze strony polskiej. Wyszła ona spod pióra Józefa Pawlikowskiego, "obywatela polskiego, który znalazł schronienie we Francji". Pawlikowski, z pochodzenia syn kowala, sekretarz Kościuszki, autor broszury "Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?", napisanej pod okiem Naczelnika, brał udział w akcji przygotowującej insurekcję warszawską, w okresie Królestwa Kongresowego uczestniczył w związkach tajnych, umarł w więzieniu rosyjskim. Rozprawiwszy się z porównaniem Suworowa do Epaminondasa Pawlikowski udowadnia, że nie każdy szturm złączony jst z rzezią niewinnych. Wystarczy zestawić dwa fakty z tej samej wojny przeciw Turkom — zdobycie Belgradu przez Laudona i Izmaiła przez Suworowa, — by wiedzieć kto zawinił. Argument, że żołnierze przestali słuchać swych przełożonych, nie wytrzymuje krytyki. — Gdyby żołnierze mieli przekonanie, że ich wódz jest człowiekiem ludzkim i że surowo będzie karał wszelkie wy-



Karykatura Rowlandsona z powodu rzezi Pragi pt. "Rozrywki monarsze" (omówiona szczegółowo w tekście)

kroczenia, nie odważyliby się na podobne barbarzyństwo.

Anglosascy pisarze wojskowi XIX w. skłonni byli raczej do obrony Suworowa. Mjr. Macready polemizuje z Casterą i twierdzi, że żołnierze wszelkich narodowości popełniają okrucieństwa w podobnych okazjach. Generał-major Watts de Peyster udowadnia, że Suworow wypełniał rozkazy swego dworu. Płk. Spalding powtarza gołosłownie, że Suworow kazał zburzyć most aby ochronić Warszawę od grabieży. Natomiast współczesny pisarz angielski, prawnik z zawodu, W. Lyon Blease, który swą książkę pisał w Rosji w czasie poprzedniej wojny, jest zdania, że cokolwiek się powie na usprawiedliwienie Rosjan, rzeź Pragi "pozostanie plamą na dobrym imieniu armii rosyjskiej i jej wodza". — Wprawdzie Suworow wydał przed bitwą rozkaz oszczędzania kobiet i dzieci, ale w relacjach o szturmie ani słowkiem nie wspomina o niepotrzebnych okropnościach, nie ma śladu również aby zwrócił się z jakimkolwiek napomnieniem do winnych. Scena rzezi pozostawiła w duszy polskiej ślady, ktorych nic nie zatrze ("made an impression upon the minds of the Polish nation that will never be effaced").

Historyk francuski Jacoby uważa, że nigdy Suworow mniej nie zasłużył na buławę feldmarszałkowską niż za szturm Pragi. Zwycięstwo nad odważnymi i bohaterskimi, ale źle uzbrojonymi i źle dowodzonymi powstańcami, nie mogło nic dorzucić do sławy wojennej armii rosyjskiej i samego Suworowa. Ale każdy z nich — w przeciwieństwie do historyka sowieckiego — w całej grozie ukazuje męczeństwo Pragi. Oto opis Pietruszewskiego: "Nieszczęsna Praga wypiła czarę nieszczęść do dna... Praga przeobraziła się w morze ognia". Żołnierze rosyjscy, rozwścieczeni zażartą obroną, "wdzierali się do domów, zabijali wszystkich kogo popadło, i uzbrojonych i bezbronnych, i tych co się bronili, i tych co się chowali: — starcy, kobiety, dzieci—każdy kto się nawinął, ginął pod uderzeniem". A oto opis Polewoja: "Most na Wiśle został zapalony. Droga do ucieczki odcięta... Za wałami srożył się straszliwy przelew krwi. Wszystko zmieszało się w dymie jęku, alarmach, warkocie bębnów. Obrońcy Pragi, tłoczeni przez atakujące wojska, słyszeli za sobą wycie mieszkańców, padających pod ciosami kolumn, które wdarły się od strony Wisły. Nakoniec Praga stanęła w płomieniach... Uporczywa obrona rozdrażniła oblegających, i kiedy żołnierze wdarli się na samą Pragę — wszystkie okropności nie dającego się powściągnąć rozwścieczenia, spadły na nieszczęsne miasto! o dziewiątej rano na miejscu Pragi były zakrwawione, dymiące ruiny, zawalone zniekształconymi, popalonymi trupami i umierającymi".

Nad państwem polskim na lat sto dwadzieścia pięć zamknęło się wieko żałobne.

PRZYPISY

GŁOSY FRANCUSKIE. **Castera.** The Life of Catherine II.. Vol. III. Londyn 1800; str. 343-344; "Covered with the blood of these unfortunate people, the barbarian entered Warsaw". — (**C. F. Ph. Masson**). Memoires secrets sur la Rusie... Tomes premier — second. Paryż 1804. Tome troisieme. Amsterdam 1802; t. I, str. 85-86 — str. 290 ("Ce forcene de Souvorov, qui se fit jusqu'a Prague une route pavee des cadavres"), str. 292-294, str. 341-342, t. II. str. 66.67, str. 81-82 (o krwiożerczym zachowaniu się Suworowa w bitwie pod Brześciem), t. III, str. 14, 207, 211 259. — **Zbyszewski** L. c.; str. 8 — O tańcu na ulicy pisze Parrach w liście do Fryderyka Wilhelma z dn. 31 stycznia 1795 r. (**Askenazy.** L. c. I. 1918; str. 206).

O KOŚCIUSZCE W LITERATURZE ANGIELSKIEJ. Don Juan. **Lord Byron.** L. c. vol.VI. 1903; str. 418-X., 59: "...But should we to warm us on our way through Poland, there is Kościuszko's name might scatter fire through ice, like Hecla's flame"; cytujemy w przekładzie Edwarda Porębowicza (Don Juan. Warszawa 1922; str. 405), 304 (VII, 8: "...By Souvaroff, on Anglice Suwarrow, who loved blood as an alderman loves marrow"), str. 320-VIII, 55 także o Suworowie: "Hero, buffoon, half-demon, and half-dirt, praying, instructing, desolating, plundering, now Mars now Momus — and when bent to storm a Fortress, Harlequin in Uniform"). — The Pleasures of Hope. **Thomas Campbell.** L. c.; str. 14: "HOPE, for a season, bade the world farewell, and Freedom shrieked — as Kościuszko fell" — Kościusko (sic!). The complete Works of **Samuel Coleridge.** I. Oxford 1912; str. 82-83. — To Kosciusko. The Poems of **John Keats.** Londyn 1907; str. 38. — Imaginary Conversations of Literary Men and Statesmen. By **Walter Savage Landor.** I. Londyn 1824; str. 333-334.

ANGLICY O RZEZI PRAGI. The History of Poland... Londyn 1795; str. 493 - 494, 497. — The Life of the Russian General Suworow; with a circumstantial detail of His Surprising Victories; His Cruelty to the Turks at Ismail and the Poles at Warsaw... Londyn 1795; str. 3, 25-29 (cytata z Miltona w przekładzie Jack Przybylskiego) Raj utracony, Kraków 1791; str. 26). — Life and Campaigns of General Suworow... By an **Officer,** Londyn 801; str. 107, 163. Karykatura Gillraya: **Kozłow.** L. c. 1899; str. 30.

PAWLIKOWSKI CONTRA ANTHING. Histoire of the Campaigns of Count Alexander Suworow. **Frederic Anthing.** Volume I. Londyn 1799; strony 315 - 316 — O Anthingu; Kratkij obzor suworowskoj litieratury... **A. Pietruszewskawo.** Petersburg 1903; str. 46-47. — Reponse aux assertions de l'auteur des campagnes de Suwarow. Au sujet de celle que ce General fit en Pologne, dans l'annee 1794. **Joseph Pawlikowski,** citoyn polonais, refugie en France. Paryż 1800; str. 4, 20-22.— "Toutes les maisons devinrent des tombeaux, tout ce qui vivoit mourut". Pawlikowski nie wymienia nazwiska autora, ponieważ książka Anthinga ukazała się jednocześnie w wydaniu anonimowym i zapewne taki egzemplarz miał Pawlikowski w ręce. — O Pawlikowskim: **Wacław Tokarz.** Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku. Kraków 1911; str. 109; **Szymon Askenazy.** Łukasiński. II. Warszawa 1908; str. 82 i 323; **tenże.** Napoleon a Polska. III; str. 209. Opinia Askenazego o Pawlikowskim jest ujemna; złagodził ją nieco w "Napoleonie", przytaczając opinię Prądzyńskiego, który uważał Pawlikowskiego "prawie za męczennika".

SĄDY HISTORYKÓW. A Sketch of Suwarow... Major **Edward Nevil Macready,** Londyn 1851; str. 23. — Suworrow. By **J. Watts de Peyster,** Brevet Major General. Filadelfia 1883; str. 36. — Suvoroff. By Lieut. Colonel **Spalding.** Londyn 1890; str. 117. — **Blease.** L. c.; str. 178-180, 182. Str. 349: "aided a very disreputable cause in Poland". — **Jacoby.** L. c.; str. 239-240. — **Pietruszewskij.** Gienieralissimus Kniaź Suworow: str. 341-342. — Istorija... Suworowa-Rymnikshawo... **N. A. Polewawo.** Moskwa 1890; str 192..

W POPRZEDNIM 47 (99) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Bolesław Zubrzycki: Listopad; Jerzy Bazarewski: Poległemu koledze; Stanisław Stroński: Trzecie dzwonienie w Izbie Gmin; Mieczysław Grydzewski: Na 150-lecie Rzezi Pragi; Piekło Warszawy; Mowa Wierzyńskiego na obiedzie Pen-Clubu; Wacław Sledziński: Szopen w Polsce Podziemnej; Jan Lechoń: Ostatnia premjera Polskiego Teatru Artystów; Felicji Kranc: Wystawa Delacroix; Opinje i Zdarzenia.

STANISŁAW STROŃSKI *(Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego" z Londynu)*

DUMBARTON OAKS

Opracowany w Dumbarton Oaks od 21 września do 7 października 1944 szkic próbny (tentative proposals) przyszłego ustroju międzynarodowego Zespołu Narodów Zjednoczonych (The United Nations) jest obecnie przeglądany i rozważany przed przedstawieniem go niebawem zjazdowi przedstawicieli wszystkich Narodów Zjednoczonych.

Opracowanie w Dumbarton Oaks jest dziełem narady urzędników (officials) W. Brytanji, Stanów Zjed., Związku Sowietów i Chin. Chociaż ma to być początek budowy nowego świata, nie będzie ono w dziejach pamiętnym przykładem zerwania ze staremi, jak świat, nawykami. Państwa, które zasiadły dokoła stołu w Dumbarton Oaks, pomyślały przedewszystkiem o zapewnieniu sobie dobrych miejsc w przyszłym ustroju i sobie, dalibóg, krzywdy nie zrobiły.

Krótko mówiąc, miałoby być tak:

1. Będzie Zgromadzenie (General Assembly) i będzie Rada (Security Council). W Zgromadzeniu będą zasiadały wszystkie Narody Zjednoczone narówni, każde po jednym głosie. A w Radzie będzie czterech lub pięciu członków stałych (permanent) i sześciu dobieranych zmiennie tylko na dwa lata, tak że właściwym trzonem rady i jej gospodarzami będą właśnie te Państwa, które były przy stole w Dumbarton Oaks, tj. W. Brytanja, St. Zj. Ameryki, Rosja, Chiny, a z czasem i Francja.

2. Zgromadzenie może rozważać (consider) i gadać (discuss) ale tylko w zakresie zasad i zagadnień (principles and questions), a potem uchwalać zalecenia (recomendations), ale nigdy postanawiać, bo wszelkie postanowienia (decisions) należą wyłącznie do Rady,

3. Rada zaś może powziąć wszelkie postanowienia (any measures) które uzna za potrzebne dla pokoju i bezpieczeństwa, nie będąc związana niczem ale to niczem. Nawet zastrzeżenia, które były w poprzednim pakcie Ligi Narodow o przestrzeganiu sprawiedliwości, o poszanowaniu umów, o nienaruszalności niepodległości państw i ich obszaru, zostały wyrzucone, jak z procy, w opracowaniu Dumbarton Oaks. Jeżeli Rada uzna, że dla pokoju najdogodniej będzie, aby większy sąsiad połknął mniejszego, może tak postanowić, a Państwo, które ma być połknięte lub okaleczone, nie ma prawa nawet odwołania się do Zgromadzenia w którem zasiada, gdyż Zgromadzenie nie ma prawa zajmować się sprawami, które załatwia Rada.

W sprawie sposobu głosowania, Państwa z Dumbarton Oaks jeszcze rozmyślają, jak to urządzić, żeby nic nie mogło być postanowione przeciw głosowi każdego z nich, podczas gdy wszystkie inne Państwa nie będą miały wogóle głosu w postanowieniach i żadnej pewności, co może je spotkać.

Jakże... po staremu byłby urządzony ten nowy świat.

I wedle jak utartych sposobów zabierają się do tej roboty.

Któż z nas nie pamięta pospolitego trybu w wielu przedsiębiorstwach udziałowych w ostatnich dziesiątkach lat. Udziałowcy byli właśnie udziałowcami i na tem koniec. A Zarząd tak to wszystko urządzał, że był wszechwładny i głównie podwyzszał koszty Zarządu. Kroi się teraz coś podobnego, tylko że tam były to wpływy do kieszeni, a tu wpływwy polityczne.

A może jeszcze bardziej przypomina to tłumne zabawy. Urządza je Komitet a uczestnicy płacą wstęp. Członkowie Komitetu biorą dla siebie co lepsze miejsca, potrącają uczestników, zarogęszą się, a gdy to kogoś razi powiadają:

— Ja jestem komitetowy... To tylko dla komitetowych... Szanowni Państwo, proszę się rozejść, teraz tylko komitetowi.

Świata się nie naprawi w trybie komitetowych na uciesznem zbiegowisku.

JAN IGNACY SZPER

ŚP. PORUCZNIK-INŻYNIER LEON HERTZ

Kreślę te słowa pod wrażeniem nadeszłej wiadomości o bohaterskiej śmierci, 9go sierpnia, na polu bitwy we Francji — Porucznika Wojsk Polskich Leona Hertza. Do wielu grobów mych najbliższych krewnych i przyjaciół w tej wojnie, przybył jeszcze jeden — człowieka wielkich wartości z którym łączyły mnie lata wspólnej pracy.

Śp. Leon Hertz był jednym z najwybitniejszych inżynierów-chemików młodego pokolenia, a chlubą i nadzieją przemysłu cementowego, który poważnie odczuwał brak młodych sił fachowych. Pracował w cementowni, założonej przez ojca swego Maurycego Hertza. Ustępował miejsca jedynie starszemu swemu koledze, zaginionemu na początku wojny Por. Inż. Antoniemu Eigerowi.

Śp. Hertza, który na moich oczach przeistoczył się z młodego chłopca w doświadczonego kierownika i dyrektora technicznego dużej cementowni cechowały wybitne zalety dojrzałego umysłu, ustalonego męskiego charakteru o czułym, wrażliwym sercu. Był wielkim przyjacielem i obrońcą rzesz robotniczych i dzięki jego inicjatywie utworzyliśmy na terenie fabryki szereg placówek mających na celu dobro, rozwój umysłowy i opiekę nad robotnikami i ich rodzinami.

Z tymi walorami i szczególnym zapałem, przepojony szczerym potrjotyzmem i przywiązaniem do kraju, przywdział w r. 1939 mundur wojskowy.

Odbył kampanję w Polsce w armii "Kraków" między Śląskiem i Brodami, uniknął niewoli niemieckiej i był internowany na Węgrzech, był kontuzjowany. Przedarł się do Francji i był dowódcą plutonu czołgów w Armji Gen. Maczka w r. 1940.

W Anglji przeszedł gruntowne przeszkolenie techniczne w czołgach i awansował na porucznika. — We wszystkich listach skarżył się na nudę i bezczynność i nie mógł się doczekać inwazji.

Jak wynika z listów przyjaciela jego Kpt. T. Steckiego i plutonowego— naocznego świadka śmierci Hertza— opracował on plan uderzenia na wzgórze 140 pod Soignolles przez les Estrees la Campagne i la Croix. Zadania tego podjął się na ochotnika i pierwszy ruszył na czele patrolu. Dzięki temu planowi Hertza i brawurowemu uderzeniu z lewego skrzydła, pułk zdołał wycofać gros swych sił, wyzwolić swych jeńców i Kanadyjczyków. Potrafił związać siły niemieckie, biorąc cały ogień na siebie.

Wykonując to zadanie poległ śmiercią bohaterską. Poległ jak bohater na obcej ziemi z wiarą, że walczy o lepszą przyszłość Ojczyzny i nadzieją, że ideały, marzenia i uzasadnione pragnienia Nrodu Polskiego zostaną zrealizowane. Po śmierci odznaczony został przez Naczelnego Wodza Krzyżem Virtuti Militari.

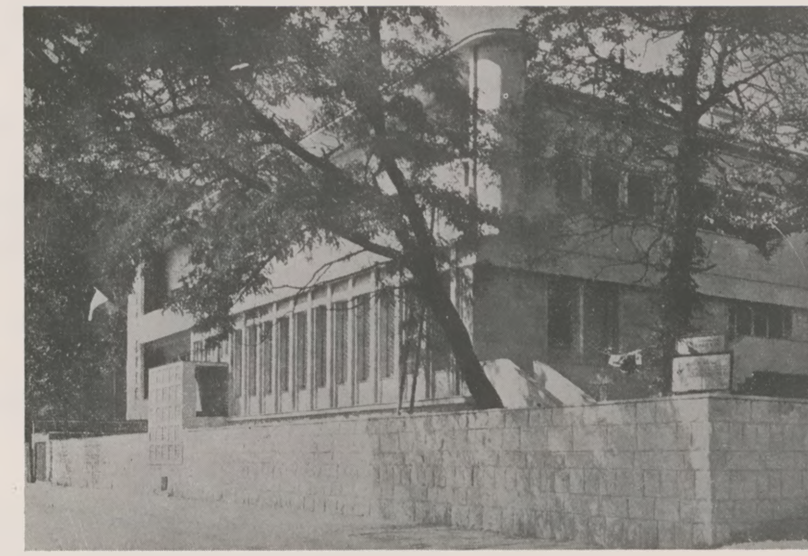
FELICJA LILPOP-KRANCOWA

BOHDAN PNIEWSKI



Jedno z najbardziej charakterystycznych dokonań architektonicznych Bohdana Pniewskiego

Pamięci świetnego artysty i jednego z budowniczych nowej Polski



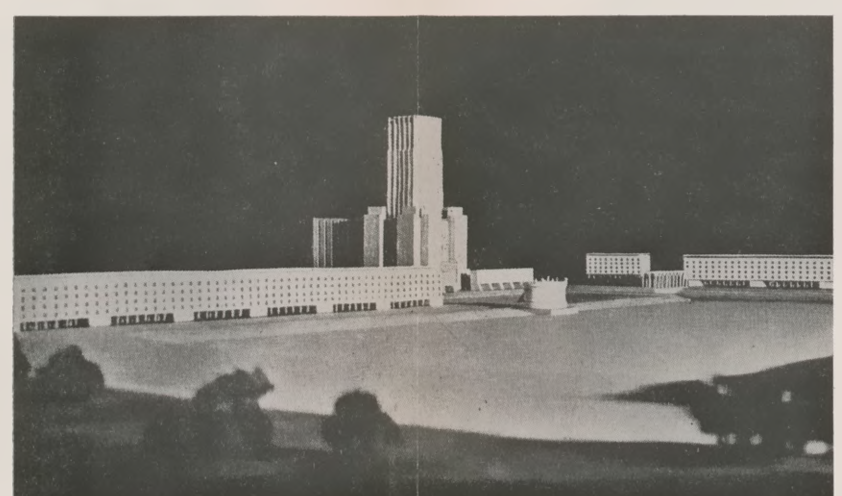
Willa w Warszawie (dzieło Bohdana Pniewskiego)

Doszła nas z Londynu wiadomość, że w powstaniu warszawskiem zginęli Bohdan i Jadwiga Pniewscy. (Telegram nie wspomina nic o córce ich, Barbarze). Jest to pierwsze, podane przez naszą prasę nazwisko, potwierdające najgorsze przypuszczenia i obawy, że wraz z upadkiem Warszawy wyginęli i ci, którzy cudem dotychczas uniknęli śmierci — przedstawiciele nauki i sztuki, tak bezlitośnie w całym kraju prześladowani. I — trzeba sobie z tego zdać sprawę, że ogrom tych strat, im dalej, tem głębiej na naszej przyszłości zaciąży. Bo tak jak nie powstanie z prochów Stare Miasto ani katedra Świętego Jana, tak w ów dzień, który przecież musi nadejść — odbudowy wolnej i niepodległej Polski — zabraknie jednego z najpotrzebniejszych ludzi, Bohdana Pniewskiego.

Pniewski to był nietylko najwyższej miary fachowiec w dziedzinie architektury, w twórczości swej wyrastający wysoko ponad ogólny poziom, u nas i tak już niezwykle w ostatnich latach wysoki — to indywidualność tak zdecydowanie oryginalna, że pociągała za sobą całe pokolenie młodych, "zarażając" ich swoją pasją twórczą i własnemi poglądami.

Z jak straszliwą ironją, gdy stoimy dziś w obliczu jego tragicznej śmierci, brzmią słowa, tak do niego za życi pasujące, że "urodził się pod szczęśliwą gwiazdą". Droga, jaką Pniewski przeszedł ,była zupełnie wyjątkowa. Parę lat zaledwie dzieliło go od chwili, gdy opuścił Warszawską Politechnikę jako student, a powrócił do niej jako profesor. Wybił się tak nagle, a począwszy od konkursu na Kościół Opatrzności, na którym otrzymał bezapelacyjnie pierwszą nagrodę, okazał się tak niewątpliwie najlepszy na wszystkich konkursach budowlanych i urbanistycznych, że ustaliła się wśród kolegów opinja, że z Pniewskim nie można konkurować. I ten właśnie fakt sprawił, że gdziekolwiek otwierał się wakans, nie było lepszego od niego kandydata. Tak więc, w Akademji Sztuk Pięknych objął po Karolu Stryjeńskim pracownię rzeźby monumentalnej, i został prezesem Instytutu Propagandy Sztuki, gdy zabrakło jego założycieli, Stryjeńskiego i Skoczylasa. Zadziwiające jest jak tak rozwiniętą działalność pedagogiczną i organizacyjną pogodzić potrafił z własną pracą twórczą,—od projektów i planów przeróżnych roiło się w jego pracowni i wielu trzeba było pomocników, aby im podołać. Podobny był w tem do Lecha Niemojewskiego, aczkolwiek różne mieli oblicza artystyczne: obaj też stali się pzodownikami pewnych idei skrajnie radykalnych, w praktyce niezawsze najszczęśliwszych i rzecz prosta, z tego tytułu krytykowanych przez starszych a więc bardziej umiarkowanych architektów.

Warszawa rozbudowywała się w tempie zawrotnem i w atmosferze, która sprzyjała lansowaniu pomysłów odważnych i oryginalnych. Co rok powstawała nowa dzielnica, co miesiąc setki domów i willi. Rozparcelowany ogród Frascati, Saska Kępa, aleja Szucha, Mokotów, zaroiły się od domów Pniewskiego, które, doskonałe w proporcji zewnętrznej, wewnątrz były najwyższem osiągnięciem techniki budowlanej i najwykwintniejszego smaku, że wspomną dla przykładu willę pp. Urbanowiczów na Klonowej, willę pp. Zalewskich na Saskiej Kępie i dla włsnej rodziny zbudowaną willę we Frascati. Ścisłe powiązanie czynnika piękna z czynnikiem wygody było też nielada krokiem naprzód, gdyż do niedawna uważano u nas, że to, co piękne, nie musi być wygodne, i odwrotnie.



Kościół Opatrzności i sąsiadujące z nim budowle (projekt Bohdana Pniewskiego)

Dziełem Pniewskiego była również przebudowa pałacu Bruhla, mieszczącego Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Zadanie nie było łatwe, trzeba było bowiem zacząć od usuwania wszelkich elementów obcych, które się tu zamieszały przy wielokrotnych przeróbkach, i dopiero tak odrestaurowany pałac dostosować do wymagań nowoczesnych. Z jakąż dumę i radością pokazywał mi potem te wnętrza Jerzy Warchałowski, wymieniając w każdej sali nazwiska artystów, którzy brali udział w dekoracji — a było ich wielu, malarzy, architektów i rzeźbiarzy—dłużej zatrzymując się przy plafonach Felicjana Kowarskiego (profesora Warszawskiej Akademji, zmarłego w czasie tej wojny).

Trudno wymienić tu wszystkie prace, które Pniewski przed samą wojną był zaczął i te, które leżały jeszcze w tece, czekając realizacji bo tyle ich było, i tak różnych. Gmach Sądów na Lesznie, dom Radja Polskiego, willa Kiepury, które stanąć miały w alei Niepodległości, prowadzącej od placu Unji Lubelskiej do Kościoła Opatrzności, były o ile mi wiadomo— najbliższe wykonania.

Z Londynu, gdzie przebywają jego uczniowie jak Roman Sołtyński, i koledzy, jak prof. Wojciech Jastrzębowski, oczekiwać należy obszerniejszego studjum o jego wyjątkowych pracach i wyjątkowej zasłudze. Nim ono nadejdzie, niech wolno mi będzie wyrazić moje najgłębsze przekonanie, że gdyby nie straszliwy wyrok historji, przy takim prezydencie miasta jakim był Stefan Starzyński i udziale architektów tej miary co Bohdan Pniewski — Warszawa mogła się była stać jednem z najpiękniejszych i najbardziej "zachodnich" miast europejskich.

Dzisiejszy numer "Tygodnika Polskiego" jest *setny* od chwili powstania pisma

"Tygodnik Polski" w tym okresie zdobył sobie czytelników we wszystkich krajach gdzie znajdują się Polacy. Poza szerokiem rozpowszechnieniem w Stanach Zjednoczonych ma on licznych prenumeratorów w Kanadzie, w Anglji, Ameryce Południowej i Centralnej, w Australji, Afryce Południowej w Palestynie, w Indjach i czytany jest przez żołnierzy polskich na wszystkich frontach.

"Tygodnik Polski" jest pismem poświęconym sprawom kultury i sztuki polskiej. Jak wszystkie inne dziedziny życia polskiego kultura i sztuka oddane są dziś obronie niepodległości. "Tygodnik Polski" walczy o nie podległość i całość Polski.

"Tygodnik Polski" jest łącznikiem między Polonją amerykańską a Polakami rozproszonemi po świecie.

"Tygodnik Polski" posiada własnych korespondentów wojennych na wszystkich frontach walki wojska polskiego.

W "Tygodniku Polskim" zamieścili dotąd swe specjalnie dla nas napisane prace następujący pisarze:

Arnold Porucznik, Baliński Stanisław, Barres Philippe, Bazarewski Jerzy, Benedict Jerzy, Benet Laura, Berlstein Alfred, Besterman Władysław, Bilmanis Alfred, Birkenmayer Konstancja, Błaszczak Stanisław, Bohdanowiczowa Zofja, Broncel Zdzisław, Broniewski Władysław, Brzeski Ludwik, Bychowski Gustaw, Carmer Carl, Centkiewicz Stanisław, Chowaniec Czesław, Chybowska Halina, Ciechanowiecka Ludwika, Ciołkoszowa Lydja, Clark Elizabeth, Curie Eve, Cwojdziński Antoni, Czapski Józef, Czech Max, Czeczot Michał, Czermański Zdzisław, Czereśniewski Wawrzyniec, Czuwara Bronisław, Danilewicz M. L., Dębicka Jaxa Ewa, Długoszowska Wieniawa Zuzanna, Domański Franciszek Ksiądz, Domański Witold, Dziewanowski M. K., Elbogenowa Edita, Erdman Jan, Erdman-Wańkowicz Marta, Fajans Roman, Fiedler Arkady, Gaładyk Janusz, Gidyński Józef K., Gieysztor Władysław, Gilczewski A., Grabowski Zbigniew, Gram Michał, Grelichowska Mira, Grydzewski Mieczysław, Gutowska Marja S., Halecki Oskar, Hawkin C. Loret, Hemar Marjan, Hulanicki Witold, Iciek Stanisław Ksiądz, Iłłakowiczówna K., Iwaniuk Wacław, Janda Victoria, Janta Aleksander, Jaroński Tomasz, Jarzębowski Józef Ksiądz, Jedrzejewicz Wacław, Jędrzejewski Klemens, Jezierski Bronisław, Junosza Józef, Karpiński Zygmunt, Kasprzak Jan, Kenner Jacob, Kesten Hermann, Kleszczyński Karol, Klingsland Zygmunt, Karłowicz Jadwiga, Kołłupajło Ignacy, Kondracki Michał, Konopacka Halina, Kosidowski Zenon, Kosznicki Leon, Kotkowski Gustaw, Kossowska Elżbieta, Koźmian Henryk, Krancowa-Lilpop Felicja, Kridl Manfred, Krzyżanowski Ludwik, Kucharzewski Jan, Kuncewiczowa Marja, Landau Stefan, Landowska Wanda, Laskowski Jerzy, Lechoń Jan, Leitgeber Witold, Letyński Bolesław, Lewin Izaak Dr., Liwski Józef, Lisiewicz Adam, Lisiewicz Mieczysław, Lorentowicz Irena, Łabuński Feliks R., Łobodowski Józef, Łużyc Jerzy, Maeterlinck Maurice, Majewska Halina. Majchrzycki Adam, Marth Władysław, Mazowiecki Władysław, Międzyrzecki Artur, Mierzwa Stefan, Miłobędzki Józef, Mitana Tadeusz, Mossin Ryszard, Muhlstein Anatol, Naglerowa Herminja, Neumark Ignacy, Nieczuja Helena, Niedzwiecki M., Nowakowski Zygmunt, Obertyńska Beata, Onacewicz Włodzimierz Płk., Orawski Tomasz, Ordyński Ryszard, Orłowski Leon, Paliński Józef, Pawłowicz Bohdan, Piotrowska Irena, Pomian Bolesław, Poznański Tadeusz, Pragier Adam, Pruszyński Mieczysław, Przedpełski Bolesław, Pusta Kaarel Robert, Raczyński Marian, Reiss Ernest, Ropp Stefan, Rostworowski Jan, Rosiński Czesław, Rurat Stanisław, Nurkiewicz Ignacy, Olejniczak Jan, Rozmarek Karol, Starzyński Teofil, Wołowska Honorata, Sikorski Wacław, Sledziński Wacław, Sołtyński Roman, Sosnkowska Jadwiga, Sowicki Tadeusz, Spitzman Henryk, Stan Wacław, Stocki Andrzej, Stojowski Zygmunt, Strakacz Sylwin, Stroński Stanisław, Strzetelski Stanisław Strzetelski Tadeusz, Suszczyński Kazimierz, Świętosławski Wojciech, Sworakowska Helena, Sworakowski Witold, Symonolewicz Konstanty, Sznuk Stefan, Szyfer Witold, Tański Jerzy, Tebinka Zygmunt Tepa Jerzy, TerleckiT Tymon, Wańkowicz Melchjor, Wedow Janusz, Weiskopf S., Wellisz Leopold, Werten Marja, Wiejski C. J., Wierzyński Kazimierz, Wilczówna Janina, Wittlin Józef, Wittlin Tadeusz, Włoszczewski Stefan, Wołkowski Tadeusz, Yolles P. P., Żaba Jarosław, Zahorska Stefanja, Zaleski S., Zajączkowski Tadeusz, Zieliński Henryk, Zubrzycki Bolesław.

BOLESŁAW POMIAN

POTĘGA PRZESTRZENI

PANI ANIELI STRAKACZOWEJ POŚWIĘCAM

Do następnego samolotu Eastern Air Lines, który miał zawieść nas do New York'u pozostawało jeszcze przeszło dwie godziny czasu. Postanowiliśmy więc przeczekać je na lotnisku. Na pójście do miasta byliśmy zbyt zmęczeni, mundury były zbyt pomięte i brudne. Nie nadawały się absolutnie na paradowanie po Miami, zwłaszcza, że była to niedziela. Poprzedniej niedzieli opuściliśmy Montreal. Poniedziałek powitali na Azorach. W wtorek jedli śniadanie w Cairo i kolację w Habbaniyi pod Bagdadem. We środę kąpali się na szerokiej, białej plaży Karachi, a we czwartek zwiedzali święte miasto muzułmanów — Allahabad. Tam zdaliśmy odprowadzone samoloty i tegoż jeszcze dnia rozpoczęliśmy drogę powrotną, jako pasażerowie amerykańskiej A.T.C. Przed paru godzinami wylądowali na słonecznej Florydzie i teraz oczekiwali na samolot, który zabrał by nas z powrotem ku naszej macierzystej bazie w Kanadzie. Ale samolot odlatywał dopiero za parę godzin i trzeba było jakoś tę pustkę wypełnić — trzeba było jakoś spędzić tych parę godzin postoju — tych 120 minut, które nie można było zamienić n przebywane mile. Minuty oczekiwania były jałowe, jak jałowem jest każde oczekiwanie. W tych najbliższych minutach nic się nie miało dziać i gromadka lotników ferry, zatrzymana w swym nieustannym pędzie naprzód, czuła się wytrącona ze swego naturalnego żywiołu. Czuła się wyrzuconą poza swój normalny tryb pracy, zagubioną i nikomu niepotrzebną, na tym zgiełkliwym, pełnym gorączkowego pośpiechu dworcu lotniczym Miami. Czuliśmy się również zawstydzeni swym wyglądem; na tle tej wzorowej czystości, wykwintu i elegancji. Należało znaleść jakiś spokojny kąt i tam przeczekać te jałowe, niezbliżające do celu, godziny.

Julek, czujący (jak i zawsze) pragnienie, zaproponował pójść na taras dworcowej restauracji, gdzie biało ubrani kelnerzy roznosili, zasiadającej przy stolikach publiczności, wysokie szklanki kolorowych napoi.

Zdziś miał jednak wątpliwości:

"Wyrzucą nas stamtąd. Zbyt wykwintny lokal na nasze khaki koszulki i shorty".

"Nie znasz Ameryki, byleś miał pieniądze, możesz iść wszędzie, nawet w stroju wodza Siouksów. Twój strój nikogo tu nie obchodzi. Ważnem jest tylko, czy masz dolary, a te mamy." — instruował nas Zbyszek, który uchodził za przysięgłego znawcę w sprawach Ameryki i jej obyczajów.

Zasiedliśmy więc wokół jednego ze stolików na tarasie dworcowej restauracji. Z tarasu rozciągał się szeroki widok na zieleń lotniska przeciętą czarnymi pasami ranway'owych asfaltów na okryte kwieciem podmiejskie ogrody, na białe sześciany domów. Daleko, już prawie na linji horyzontu bielił się piasek plaż i błękitniały wody Oceanu. Byliśmy wszyscy lotnikami — więc i oczy nasze, przyjąwszy pozdrowienie pięknego krajobrazu, powróciły ku rzeczom znanym i bliskim, ku lotnisku. Ku obserwacji lądujących i startujących liner'ów.

Liner'y powracały z dalekich południowo amerykańskich tras, z nad Andów, z Chili, z Venezueli, z Brazylji, z Peru i startowały na północ do Washingtonu, Philadelphji, New Yorku. W ciągu jednego dnia przebywały przestrzeń od zawianej śniegami Patagonji ku słonecznej Florydzie od śmiertelnych mrozów przylądka Horn ku wiecznej wiośnie Miami. I tegoż jeszcze wieczoru startowały w swój dalszy lot, z pod nieba tropików, z powietrza przesyconego wonią magnolji i róż, w mroźną wyiskrzoną od gwiazd polarną noc Labradoru.

Z lądujących samolotów wysypywali się pasażerowie. Na tle tropikalnych khaki koszulek załóg, powracających z overseas, pokrytych kurzem Italji, spalonych słońcem Afryki, podartych w gęstwinach Burmeńskiej dżungli — odcinała się jaskrawym kontrastem przesadna elegancja południowo amerykańskich "seniores" i ich stronych w jedwabie pióra i drogie futra "seniorinas".

Siedząc wokół stolika i sącząc kolorowe cocktaile z wysokich szklanek obserwowaliśmy wysiadających pasażerów i rozpoznawaliśmy nieomylnem okiem globtrotter'ów, skąd pochodzą poszczególni oficerowie. Wiedzieliśmy, że naprzykład buty tego oto młodego oficera mogły być kupione tylko w Natalu, że walizka tego tam lotnika pochodzi z Karachi, że ten tłusty major zakupił swą teczkę w Benares, a znów ta krótka szpicrózga zakończona końskim włosem pochodzi napewno z Cairo. Wiedzieliśmy, że jedwabna, mundurowa koszulka holenderskiego lotnika została mu jeszcze z czasów służby na Borneo, a znów jedwabny szalik francuskiego strzelca pochodzi z Hanoi.

Ale poza tymi drobnymi szczegółami oficerowie byli ubrani podobnie i nic specjalnie rzucającego się w oczy nie zdradzało z jakiego zakazanego kąta świata przybyli do słonecznej Florydy. I to nie oni nadawali restauracyjnej sali lotniczego dworca jej nierealny, Hollywoodski posmak krainy baśni i czarów. To co czyniło tę salę krainą baśni, nieprawdopodobnym, nierzeczywistym snem — to było kobiety. Wiedzieliśmy, że w krajach wiecznej wiosny są kwiaty jak motyle i są motyle jak tęczowa baśń. Ale czyż można było przypuszczać możliwość istnienia kobiet, które swą obecnością zaćmiewają motyle i kwiaty? Wyrosłe i wychowane w blaskach południowego słońca, pod łagodnym tchnieniem słodkich wiatrów południowych mórz, w pieszczotach rozsłonecznionych wiecznie fal, w powietrzu upajającem wonią nieznanych, egzotycznych kwiatów — same zdawały się być jakimś czarodziejskim połączeniem barwnych motyli i wonnych kwiatów.

"Wczoraj, pamiętacie, o tej samej porze, otaczały nas murzynki Gold Coast'u. Przestrzeń przestała właściwie istnieć". — powiedział Zbyszek.

Spojrzałem na bluźniercę który ośmielał się w naszem, lotniczem, towarzystwie negować istnienie przestrzeni. Kilku kolegów spojrzało również karcąco na Zbyszka.

Byliśmy gromadką dobranych przypadkowo ludzi. Dzieliło nas bardzo wiele. Różnice usposobień, wychowania, środowisk z których pochodziliśmy, wykształcenie i temperament. Łączyło nas tylko jedno: — Byliśmy lotnikami, lotnikami zawodowcami, ludźmi, którzy żyli z przemierzania tysiąco-milowych szlaków, ludźmi, dla których lotnictwo jest tylko ozdobą. Miłą i piękną, lecz związaną luźno z ich życiem, ozdobą i okrasą życia. Dla nas, spędzających całe dnie na pokonywaniu tysiąc milowych przestrzeni dla nas przyzwyczajonych do przemierzania świata w ciągu tygodnia, w który to tydzień potrafiliśmy nieraz zmieścić ponad setkę wylatanych godzin — dla nas lotnictwo miało zupełnie inne aspekty — i zupełnie inaczej przywykliśmy patrzeć na swego nieustannego wroga, pokonywanie którego stanowiło istotę naszego życia — przestrzeń. Przeczyć istnieniu przestrzeni — znaczyło dla nas toż samo, co przeczyć wszelkiej celowości naszego istnienia.

Zamierzałem właśnie skarcić ostro

bluźniercę, gdy uprzedzony zostałem przez Jurka: —

"Nie zgodzę się z Tobą, Zbyszku, że istnienie samolotów przekreśliło przestrzeń i jej wpływ na ludzkie stosunki. Ostatni lot dał mi doskonały choć bardzo bolesny dowód, że przestrzeń istnieje i pomimo naszej ustawicznej z nią walki jest wciąż zwycięską. Jest to zupełnie zresztą naturalne. Przestrzeń jest wieczna— podczas gdy my walczymy i pracujemy w czasie."

"I to często w djabelnie ograniczonym czasie". — dorzucił Julek. Słowa Julka przywiodły na pamięć te wszystkie załogi, które przedwcześnie porzuciły swą walkę z wieczną przestrzenią i odeszły w tajemniczych, niewyjaśnionych nigdy okolicznościach opuściły na zawsze nasze grono, jako jedyny ślad pozostawiając po sobie notatkę w wielkim Flight Book'u: — missing over South Atlantic — missing over Pacific — missing over Congo Jugle — missing over Himmalaya.

Nad naszym stolikiem powiało smutkiem dalekich wspomnień.

Słońce kłoniło się ku zachodowi i jego wielka, czerwona kula stała nisko nad linją horyzontu. Ostatnie promienie kładły się zaczarowanym blaskiem barw na białych sześcianach domów, na szmaragdowych trawnikach — i dalej, w morzu, rozlewały się krwawą czerwienią na błękicie spokojnych, sennych fal. Była cicha, przedwieczorna pora. Ta pora gdy powietrze jest spokojne i równe i gdy najlżejszy nawet wietrzyk nie zachwieje płatami lądującego samolotu. Ta cicha, przedwieczorna pora, tak dobrze pamiętna nam wszystkim: pora pierwszych samodzielnych lotów.

Nie pamiętam już, kto pierwszy przerwał milczenie, którem zaraził się nasz stolik od panującej wokół ciszy.

"Opowiedz, Jurek, o tem swojem doświadczeniu z przestrzenią, o tym ostatnim locie, który Cię przekonał o potędze przestrzeni".

"I gdzie się to zdarzyło? Nad Indyjskim Oceanem? Nad Himalayami?"

Jurek poprawił się na krześle — wyrzucił jeszcze bardziej przed siebie swe długie, chude, obute w moskitjery nogi, zapalił papierosa, długim, równym haustem wypróżnił do dna wysoką szklankę i skinąwszy na przechodzącego kelnera rzucił: —

"The same please."

I tym samym równym, spokojnym i miarowym głosem zaczął swe opowiadanie: —

"Potęgę przestrzeni zrozumiałem nie nad Oceanem i nie nad pustynnymi górami. Zrozumiałem ją wśród gwarnych ulic Londynu i wśród nowojorskich drapaczy chmur. Ale rzecz zaczęła się w Karachi. Zaczęła się od tego, że pojechałem zwiedzić obóz polskich dzieci, które po ucieczce z bolszewickiego raju znalazły się w Indjach i dla których zorganizowano kilkanaście obozów, między innymi obóz w Karachi. Wszyscy znacie dobrze ten obóz — więc nie potrzebuję go Wam opisywać. Nie będę też opisywał Wam swych uczuć, z jakimi obóz opuszczałem. Wiecie jaki jestem niemądry. Wierzę wciąż, że człowiek może, jeśli tego mocno chce, wpłynąć na bieg wypadków, może zmienić zło na dobre, może choć w małej części pomoc innym ludziom. Wciąż się na tej swej wierze parzę, wciąż się rozczarowuję—ale wciąż i niezmiennie jestem sentymentalnym marzycielem, pragnącym leczyć zło świata. Więc i po wizycie w obozie polskich dzieci w Karachi — użyłem wszelkich możliwych wpływów i wpływików, bo moja droga powrotna wypadła poprzez Londyn. Dotarłem do samego, polskiego ministra Opieki. Nie była to sprawa łatwa. Sami wiecie, jak trudno jest uzyskać posłuchanie u Dalej-Lamy. Ale wierzcie, że żadne mandaryny i mnichy nie potrafią być tak niedostępne jak zwyczajny polski minister. Ale dotarłem! Pan Minister wysłuchał mego opowiadania i zawezwał odpowiednich referentów. Zostałem przedstawiony paniom Cybulskiej i Miedzińskiej. W ich obecności powtórzyłem raz jeszcze wszystko to co widziałem w obozie. Jedna z pań spojrzała na mnie podejrzliwem okiem i spytała: —

"Kiedy Pan był w Karachi, panie Kapitanie?"

"Pięć dni temu, proszę Pani. Dziś jest środa, Karachi opuściłem w piątek."

"To bardzo dziwne, co Pan opowiada, gdyż ja, jako referentka wiem napewno, że w Karachi dzieci polskich już nie ma. Ostatnia partja opuściła Karachi przed czterema miesiącami."

Zrobiło mi się niezmiernie głupio. Wyglądałem wprost śmiesznie. Pan Minister spoglądał na mnie z wysoka i dobrotliwie. Panie referentki wyniośle i z pogardą. Cóż miałem dalej mówić? Czułem na gardle potężny ucisk wgniatający nie tylko słowa, lecz nawet oddech. Przestrzeń 10 tysięcy mil ujęła mnie w swe straszliwe szpony. Drwiła ze mnie swą niezwalczoną, wieczną potęgą. Cóż mogłem ja, nędzny pyłek, przemijająca efemeryda, wobec wiecznej, niezwalczonej potęgi, jaką jest przestrzeń 10 tysięcy mil?

W trzy tygodnie po rozmowie z Panem Ministrem znów byłem w Karachi. Dzieci polskie po dawnemu były w obozie. Podawnemu polsko-angielskie kierownictwo obozu toczyło zawziętą, nieustępliwą walkę o życie każdego dziecka. Podawnemu polscy i angielscy lekarze i polskie i angielskie pielęgniarki prowadziły syzyfową, pełną beznadziejnego poświęcenia i samozaparcia się walkę: z pustynią, klimatem i głodem o życie każdego dziecka — i po dawnemu codziennie induscy kopacze kopali maleńkie, wąskie groby, w których spoczywały maleńkie, wychudzone ciałka polskich dzieci. — Tych samych — które (według opinji Pana Ministra) opuściły Karachi już pięć miesięcy temu. Po następnym locie udałem się po pomoc do New Yorku. Ale już nie rozmawiałem z nikim o polskich dzieciach w Indjach. Przestrzeń 12 tysięcy mil pokonała mnie. Zrozumiałem wszechwładną, niezwyciężoną potęgę przestrzeni. — Przyszło to nagle i niespodziewanie. Poprostu jak objawienie.

Znajdowałem się w towarzystwie bardzo miłych i bardzo kulturalnych ludzi. Wszystko wokół mnie tchnęło spokojem, czystością, zamożnością i równowagą. Posługując się srebrnym widelcem i nożem, opierając ręce na śnieżno białym obrusie — mimowoli pomyślałem, że przecież dopiero kilka dni temu, w Indjach, temi samymi rękoma... Wszyscy wiecie, więc pocóż mam wspominać, jak czasem musimy żyć w Indjach. I przez asocjacje pojęć — Indje przywiodły mi na pamięć polskie dzieci w Indjach. Ale tym razem już byłem mądrzejszy. Nie zepsułem moim gospodarzom nastroju miłej kolacji opowiadaniem koszmarnych scen z obozu polskich dzieci w Indjach. Poco? Wiedziałem, że przestrzeń jest potężniejsza od wszystkich moich słów.

Gdyby choć jedno z tych polskich maleństw mogło się ukazać wówczas w tym wytwornym pokoju — wierzę, że obecne panie oddałyby wszystko, by to maleństwo ratować. Gdyby mogły ujrzeć te straszliwe, wychudzone

dzieci-szkielety, te straszliwe dzieci widma — wiem — oddałyby wszystko, by je ratować. Gdyby mogły ujrzeć te "małpie twarze" pięcioletnich brzdąców ("małpia twarz" określenie lekarskie stanu, w którym głód nadwyręża mięśnie twarzy tak silnie, że mięśnie nie mają siły utrzymać skóry i skóra twarzy opada ku dołowi nadając twarzy straszliwy, zwierzęcy wygląd), żadna ofiara nie byłaby dla nich za wielką. Ale co innego jest ujrzeć tą straszliwą nędzę polskich dzieci — a co innego usłyszeć, że dzieci te wymierają masowo w obozach położonych o 12 tysięcy mil, gdzieś w dalekich, egzotycznych Indjach.

Znów postawiony zostałem wobec potęgi przestrzeni. Bo przecież co innego jest apelować o pomoc dla kokoś kto jest w sąsiednim domu, co innego jest apelować o pomoc dla kogoś, kto mieszka na krańcu miasta. Ale jak apelować o pomoc poprzez przestrzeń 12 tysięcymil?

Jak opowiadać o straszliwym klimacie pustynnego Sind'u? O panującym w Indjach głodzie? O straszliwych, nieustannie wiejących wiatrach pustynnych, niosących tumany kurzu i zabójczych bakterji? Jak opowiadać o tym najzacniejszym, najsumienniejszym, pracującym po 18 godzin na dobę Angliku-lekarzu, który dzieci polskie pokochał jak swoje własne — i który wskazując mi na kilkanaście dziecięcych szkielecików, których twarzy już nigdy nie rozjaśni uśmiech mówił mi: — Jeśli tych dzieci nie zabierzecie w ciągu miesiąca — muszą umrzeć. Klimat zabije je. Medycyna nie potrafi zmienić klimatu, ani temperatury, ani składu chemicznego tutejszej, zabójczej dla białego, wody.

Przestrzeń 12 tysięcy mil — kładzie się całym ciężarem i zabija wagę i znaczenie moich słów. Przecież te dzieci, które nauczone straszliwymi przeżyciami, nie dadzą się oduczyć od zakopywania każdej kromki niezjedzonego chleba w ziemi (na zapas!), są oddalone o 12 tysięcy mil. Przecież ten tragicznie smutny rząd maleńkich mogiłek — tak okrutnie długi, gdym go oglądał ostatnio, a napewno jeszcze dłuższy teraz i narastający z każdym dniem — ten rząd dziecięcych mogiłek jest oddalony o 12 tysięcy mil. Więc jak mam o tem mówić? Who cares? — jak mówią Amerykanie.

Właśnie wtedy: — w Londyńskim gabinecie Ministra zrozumiałem straszliwą, niezwyciężoną potęgę przestrzeni. Zrozumiałem, jak daleko jeszcze jesteśmy od pokonania jej wieczystej, okrutnej władzy nad ludzkością. Zrozumiałem, że ten tragiczny rząd mogiłek polskich dzieci rośnie tak szybko, nie tylko dlatego, że w Indjach panują choroby i głód — ale może głównie dlatego, że pomiędzy nędzą polskich dzieci w Indjach — a sercami w Ameryce, legła straszliwa, 2 tysięcy mil licząca przestrzeń."

Jurek skończył. Nikt nie przerywał milczenia. Wszyscy znaliśmy te obozy polskich dzieci w Indjach—i wszyscy próbowaliśmy im pomóc. Naprożno. Wiedzieliśmy, że dzieci te zginąć muszą, gdyż jak słusznie powiedział Jurek, pomiędzy głodową śmiercią — a sercami w Ameryce, legła straszliwa potęga przestrzeni.

OPINJE I ZDARZENIA

ŚP. HIERONIM WIERZYŃSKI

Wśród wieści, poczynających do nas przenikać z Warszawy, wieści które, niesposób się łudzić, powiadomią nas o najcięższych w tej wojnie stratach dla Polski, o śmierci najlepszych, o wybiciu przywódców wszystkich dziedzin polskiego życia — jedna, parę dni temu doszła przez Szwajcarję — doniosła Kazimierzowi Wierzyńskiem uo śmierci jego starszego brata Hieronima.

Kto znał Warszawę polityczną, między dwoma wojnami, kto miał coś do czynienia z życiem warszawskiej prasy tego czasu — weźmie serdeczny udział w żałobie świetnego poety, najczulszem wspomnieniem żegnając pamięć doskonałego dziennikarza, Polaka i człowieka bez skazy; redakcja "Tygodnika Polskiego" i "Koło Pisarzy z Polski" przesyłają Kazimierzowi Wierzyńskiemu gorące słowa wspomnienia i bratnie wyrazy współczucia.

Hieronim Wierzyński należał do tego pokolenia i do tego charakteru Polaków dla których każda. podejmowana przez nich praca była służbą publiczną, dla których cel ogólny był celem każdego wysiłku. Wychowanek szkół w Chyrowie, absolwent filozofji Uniwersytetu Lwowskiego — Hieronim Wierzyński od najwcześniejszych lat bierze udział w życiu politycznem, znajdując szybko w dziennikarstwie ramy doskonałe, w których jego chęć służby publicznej wypowiada się według jego zdolności i temperamentu.

Sprawozdawca parlamentarny "Gazety Warszawskiej", później redaktor "Gońca Warszawskiego" — Hieronim Wierzyński zdobył sobie odrazu wśród kolegów warszawskich opinję jednego z paru "Asów" fachu dziennikarskiego, dziennikarza z pasji i sentymentu, człowieka o zdecydowanych i śmiało wyrażanych przekonaniach. Był Wierzyński szanowany i kochany przez wszystkich, bez różnicy poglądów towarzyszy pracy, za tę właśnie odwagę przekonań, za prawdziwie koleżeńskiego ducha, który go ożywiał, za miłość fachu, za lojalność i przyjaźń niezawodną.

Wyrazem tego powszechnego uznania były dwa stanowiska najwyższe, któremi dziennikarstwo warszawskie dysponowało, a które oba z kolei Wierzyńskiemu były powierzone: prezesura Związku Dziennikarzy Parlamentarnych i prezesura Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich.

Wkrótce po zajęciu Warszawy przez Niemców Hieronim Wierzyński był aresztowany i długo więziony. Choć nieznane są nam szczegóły jego śmierci nietrudno odcyfrować jego życie pod okupacją — z jego poprzedniego życia, w którem służba dla Polski była najwyższym nakazem. W tej służbie, której całe życie poświęcił — zginął.

ODEZWA PALESTYŃSKA

Dnia 31 sierpnia na zebraniu porozumiewawczym zwołanym przez Komitet Uchodźców Polskich i przez 27 organizacji polskich w Jerozolimie zostało przyjęte i podpisane następujące oświadczenie:

Podpisane zespoły i organizacje polityczne, społeczne, zawodowe, kulturalne i religijne Polaków na Bliskim Wschodzie, na wspólnym zebraniu porozumiewawczym, odbytym w Jerozolimie dnia 31 sierpnia 1944, stwierdzają i deklarują, że będą bronić nieustępliwie, solidarnie i konsekwentnie paktów, postanowień ani uchwał, któreby:

1. naruszały w jakiejkolwiek mierze integralność terytorium Rzeczypospolitej i suwerenność Państwa Polskiego;
2. naruszały w jakiejkolwiek mierze niezależny charakter rządu R. P.;
3. naruszały w jakiejkolwiek mierze obowiązującą konstytucję R. P. tak długo, dopóki konstytucja ta nie ulegnie zmianom uchwalonym w trybie przez nią przewidzianym.

Bez względu na dzielące ich różnice poglądów na sprawy wewnętrzne, przedstawiciele i członkowie podpisanych ugrupowań stwierdzają solidarnie że tego punktu widzenia bronić będą także w przyszłości wszystki



Biskup Gawlina udekorował imieniem Ojca Świętego licznych żołnierzy Dywizji Karpackiej Krzyżem Bene Merenti za obronę Loretto. Biskup Gawlina przechodzi przed frontem kompanji honorowej

dzają i deklarują, że będą bronić nieustępliwie, solidarnie i konsekwentnie:

1. Zasady integralności naszego terytorium państwowego, stojąc na stanowisku nienaruszalności granicy traktatu ryskiego, a przyłączenia w całości Prus Wschodnich, całego Śląska i całego Pomorza, aby uniknąć okrążenia, które odbiera nam rzeczywistą niepodległość.
2. Suwerenności naszego życia narodowego we wszystkich jego dziedzinach oraz konstytucyjności, legalności i ciągłości naszych najwyższych instytucji, władz, organów i urzędów państwowych.

W konsekwencji Polacy zrzeszeni w podpisanych organizacjach stwierdzają, że nie uznają nigdy żadnych

mi dostępnymi im środkami działania. Sprawa polska oparta o uczciwość zasad sformułowanych w Karcie Atlantyckiej zwyciężyć musi, choćby nawet o wartościach i prawdach tej Karty chciano zapomnieć.

Żadne akty, zrealizowane na ziemiach polskich via facti nie mają i nigdy nie mogą mieć dla naszego bytu i naszej przyszłości mocy wiążącej, dopóki nie zostaną przyjęte przez nas samych. Żadna, choćby największa, potęga polityczna i militarna nie jest w stanie zmienić stanu prawnego w naszym kraju, jeżeli nie uzyska na to zgody Polaków. Przemocą i siłą bagnetu realizowane zmiany pozostaną zawsze niebyłe i nie istniejące z punktu widzenia prawa, które choć przygłuszone chwilowo siłą pięści, nie

przestaje być dla nas i dla całego cywilizowanego świata prawem. Panowanie prawa ztriumfować musi nad panowaniem siły.

Wiara niezłomna w wielką przyszłość Wielkiej Polski jest fundamentem naszych poglądów i naszej postawy.

Jerozolima, 31 sierpnia 1944 r.

Stronnictwo Narodowe na Wschodzie
Komitet Uchodźców Polskich w Jerozolimie
Koło przyjaciół Harcerstwa
Koło Cieszyniaków
Koło Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów z siedzibą w Jerozolimie
Klub Przyjaciół Kultury Brytyjskiej
Koło Przyrodników im. Kopernika
Liga Polsko-Jugosłowiańska na Bliskim Wschodzie
"Ognisko" — Stowarzyszenie Kulturalno Społeczne
Polska Partia Socjalistyczna
Patronat Pań przy Kole P. C. K. w Jerozolimie
Polskie Koło Przyjaciół Teatru
Sodalicja Marjańska
Stow. Inżynierów i Techników
Stowarzyszenie Prawników
Sekcja Pracowników Absolwentów Kursu Handlu Zagranicznego i Administracji Portowej
Stowarzyszenie Krzewienia Nauki i Wiedzy o Morzu
Związek Pracy dla Państwa
Związek Ogólny b. Żołnierzy W. P. — Zarząd Główny
Związek byłych żołnierzy S. B. S. K. — Zarząd główny
Związek Ogólny b. Żołnierzy W. P. Oddziały: Jerozolima, Tel Aviv, Rehovoth i Betania
Związek b. Żołnierzy S. B. S. K.— Zarząd Oddziału w Jerozolimie
Związek Rodzin Wojskowych po Poległych i Zaginionych Żołnierzach
Związek Harcerstwa Polskiego na Wschodzie
Związek Ziem Północno-Wschodnich
Związek Ziem Północn -Wschodnich — Oddział "Wscód".

DO PISARZY FRANCUSKICH

Przesyłając znakomitym pisarzom francuskim Maritainowi i Mauriakowi list majora Czapskiego, pisarze polscy, zamieszkali w Stanach Zjednoczonych dołączyli do niego list następujący:

Szanowni Panowie,

Koleje wojny sprawiły, że list Józefa Czapskiego, znanego malarza i majora Wojsk Polskich, przesłany z Włoch do Ameryki, wcześniej niż do rąk Panów trafił do nas, przyjaciół i znajomych autora.

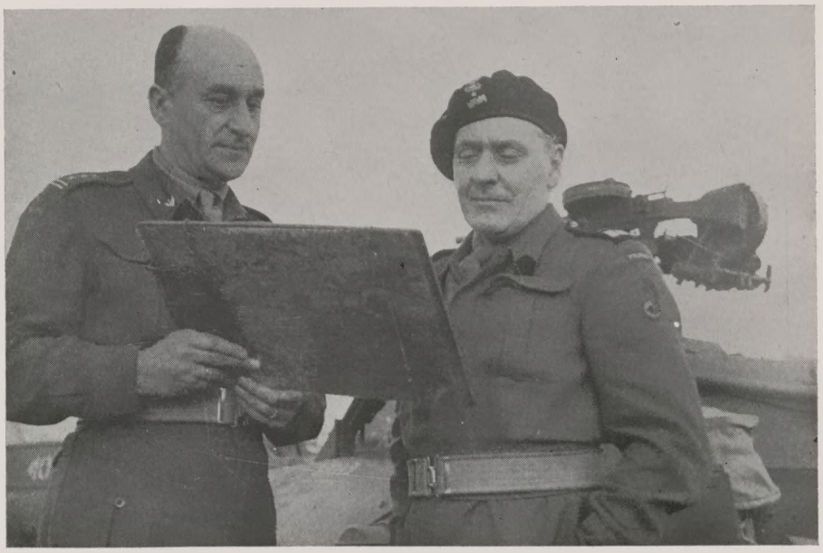
Czujemy się wstrząśnięci do głębi treścią listu a zwłaszcza autentycznemi doniesieniami obrońców Warszawy, które były nam dotychczas nieznane. Wołanie o pomoc tych ludzi, z których wielu już nie żyje, ostatnie ich słowa na wolności, brzmiące dziś jak głos z za grobu, dodają znanym z poprzednich relacji wypadkom warszawskim straszliwie tragicznej wymowy. Są one dla nas, pozostałych przy życiu, wolnych i korzystających z bezpieczeństwa, jakgdyby testamentem dalszej walki.

Głos Warszawy, dochodzący nas poprzez słowa listu majora Czapskiego, jest nietylko wołaniem o pomoc dla tych, którzy cierpieli i cierpią w tej chwili tortury, lecz jest on także wezwaniem do obrony prawdziwej niepodległości Polski, która jest jedynem zabezpieczeniem jej obywateli przed dalszemi cierpieniami i przed zupełnem zniszczniem biologicznem naszego kraju; Warszawa woła nietylko o pomoc dla siebie i dla Polski ale o prawdziwą wolność dla Europy, dzisiaj — w przededniu końca wojny wciąż zagrożoną.

Sumienie nasze nie może pogodzić się z myślą, że los Warszawy i Polski nie poruszy opinji świata. Nie pogodzimy się również nigdy z tem, by losy te zależne były tylko od rozstrzygnięć, dla których moralny sens spraw ludzkich jest ostatnią uwzględnianych okoliczności. Naród nasz, związany od początku swej świadomości z chrześcijaństwem i należący do kultury Zachodu Europy, zawsze będzie wracał ku owym niewyczerpanym źródłom cywilizacyjnym, nawet gdyby polityka tej części świata chciała zmienić kierunek tysiącletniej historji nszego kraju.

Wierzymy, że dla myśli i twórczości Panów nie jest obojętna tragiczna walka Polski o prawdę jej idei i życia i będziemy szczęśliwi jeżeli w walce tej naród nasz znajdze poparcie tak szlachetnych i wielkich ludzi jak Panowie.

Antoni Cwojdziński
Zenon Kosidowski
Jan Lechoń
Jerzy Tepa
Kazimierz Wierzyński
Józef Wittlin.



Dowódca dywizji zmotoryzowanej generał Stanisław Maczek (z prawej) na froncie

RZYMOWSKI O BOHATERZE WARSZAWY

Rzymowski "ambasador" lubelski w Moskwie napisał o bohaterze Warszawy generale Komorowskim rzeczy tak plugawe, że same już one są świadectwem z kogo to składa się rząd lubelski i jakie są ludzi tego komitetu prawa do nazywania się Polakami. Rzymowski — nigdy nie był, to prawda, komunistą, był "sanatorem" kiedy sanacja mała pisma, wpływy, zaszczyty i honory do dania. Czy to, że ta figura, wyrzucona z Akademji Literatury za ordynarny plagjat, zasiada dzisiaj w Komitecie Lubelskim świadczy, że Komitet ten reprezentuje wszystkie stronnictwa polskie? Czy nie świadczy to tylko, iż do tego Komitetu przystaje wszystko, co było najgorsze w całej Polsce bez różnicy przekonań i że Sowiety — nie wstydzą się temi najgorszemi ludźmi posługiwać.

PIĘKNE KARTY ŚWIĄTECZNE

Już czwarty rok pani Edwarda Mortkowicz-Markoe, siostra niezapomnianego Jakóba Mortkowicza wydaje w Nowym Yorku piękne karty świąteczne, będące doskonałą propagandą naszej sztuki i przez to naszego kraju. Pamiętamy wszyscy z poprzednich lat pełne rozmachu grupy taneczne Stryjeńskiej, małe arcydzieła graficzne Chrostowskiego, Cieślewskiego, Bartłomiejczyka, bajecznie kolorowe i ślicznie sentymentalne ludowości Ireny Lorentowicz i wreszcie bardzo oryginalne przetworzenia polskich motywów przez Hankę Górecką.

Do tych już wydanych i już bardzo popularnych kart pdzybywają w tym roku nowe. Pani Marja Werten dała istne cacka barwnych harmonji, bardzo oryginalnych — pani Górecka— rzeczy czarująco lekkie i rzewne; w sumie kolekcja pani Mortkowicz zawiera kilkadziesiąt już kart, przedstawiających jaknajświetniej naszą sztukę graficzną i zapoznających obcych z naszym krajem.

Karty te zdobyły już sobie wielkie powodzenie — widzi się je we wszystkich sklepach, sprzedających pocztówki świąteczne. Pani Mortkowicz dokonała pięknej roboty, wprowadzając polską kartkę na rynek amerykański i trwale ją na nim utrzymując. Jest naszą rzeczą dopomódz jej w jej pracy, nie wspartej żadnym subsydjum a tak skutecznej. Napisy na kartkach — zarówno polskie jak i angielskie. Kupujmy na święta wyłącznie polskie karty.

O LIŚCIE CZAPSKIEGO

W ostatnim numerze "Pour la Victoire" czytamy taką notatkę o pomieszczonym w "Tygodniku" liście majora Czapskiego.

France-Pologne. Le dernier numero de notre confrere polonais "Tygodnik Polski" que dirige notre excellent ami, le grand poete polonais Jean Lechon, publie une emouvante lettre ouverte a Jacqus Maritain, dechirant appel a l'amitie franco-polonais, que reste vivante au moment ou la patrie de Mickiewicz et de Chopin traverse de lourdes et cruelles epreuves... On lira cett lettre emouvante, le coeur serre...

NAJBLIŻSZA PREMJERA TEATRU ARTYSTÓW

Teatr Artystów przygotowuje nową premjerę, tym razem z wielkiego repertuaru polskiego. Pójdą "Śluby Panieńskie" acydzieło Fredry w reżyserji Modzelewskiej, w dekoracjach Ireny Lorentowicz. Anielę grać będzie — Nakoneczna, Klarę — Wilczówna, Gucia — Modzelewski, Albina — Witanowski, panią Dobrójską — Bohdańska, Radosta — Ilcewicz,

SZTUKA HEMARA NA BROADWAYU

Sztuka Marjana Hemara "Cud prostych ludzi", która grana była z wielkim powodzeniem w Dublinie, o czem w swoim czasie "Tygodnik" pisał pomieszczając też fotografję z przedstawienia — została zakupiona na Broadway i ma być już niedługo grana. Autor podobno wkrótce ma przyjechać, co się bardzo przyda teatrowi polskiemu i całej emigracji, której brakuje bardzo specjalności hemarowskiej — siarki i ognia.

ARTYKUŁY PANI KISTEROWEJ

Artykuł Pani Hanny Kister, arcydzielnej współkierowniczki "Royu": "What's Ahead for the Polish Book Industry" ukazał się w numerze październikowym "BOOKBINDING and BOOK PRODUCTION". Drugi artykuł "BOOKS AND PEACE" został ogłoszony przez Publisher's Weekly i ukazał się w czerwcowym wydaniu O Papel — O livro, w Sao Paulo, Brazil.

KALENDARZYK ODCZYTÓW

W przyszły piątek, 8go grudnia, o g. 8ej w., Koło Prawników organizuje w sali Konsulatu wieczór dyskusyjny, na którym przybył z Londnu p. Olgierd Górka, profesor uniwersytetu Lwowskiego wygłosi odczyt p. t. "Problem mniejszościowy w przedwojennej i powojennej Polsce".

NOWE KSIĄŻKI

W najbliższym czasie ukaże się nakładem "Roju" polskie (oryginalne) wydanie nowel Wierzyńskiego "Pobojowisko", Jana Lechonia studjum "O literaturze polskiej" i polski tekst wspomnień Janty "Kłamałem aby żyć."

Listy do Redakcji

Panie Redaktorze,

Dzień w którym otrzymuję numer Tygodnika Polskiego jest dla mnie dniem uroczystym. Oczekuję go zatem niecierpliwie.

Tygodnik Polski, będąc jedynem polskiem pismem, które obecnie czytuję, informuje mię o najnowszym kierunku literatury i sztuki polskiej i utwierdza mię w mych poglądach politcznch. A są to rzeczy bliskie mego serca.

Dziękuję więc za ten drogi przywilej z głębi serca.

Z szacunkiem

E. Kasztelanic.